

kiedy dojedzie do celu. A książkę, czy gazetę, może nabyć bardzo łatwo w księgarni kolejowej.

Taką księgarnię otworzył na dworcu w Krakowie z filiami na dworcach w Trzebini, Szczakowej i Dziedzicach p. Stefan Kavka, znany wydawca sensacyjnych dzieł, zwłaszcza z literatury zagranicznej. Księgarnie kolejowe p. Kavki są urządzone, jak to widać na załączonych obok rycinach, bardzo estetycznie i zaopatrzone doskonale w wybór nowości literackich w języku polskim, francuskim, niemieckim i angielskim, a prowadzone są nadzwyczaj fachowo. Nakładem p. Kavki wyszło w ostatnich latach kilka dzieł sensacyjnych, że wymienimy je „Wielki król Patazake“, „Wilhelm II“ i inne. Księgarnie p. Kavki mogą śmiało przodować takim przedsiębiorstwom nie tylko w kraju, ale i zagranicą.

KRONIKA LWOWSKA.

(Zjazd posłów sejmowych i jego skutki. — Lwów w nocy. — Pan poseł się bawi. — Dlaczego powinna sesja sejmowa trwać dłużej. — Uratowane żółdki. — Precz z lekarzami. — Kawalerskie grymasy, a panińskie główki. — Czy pani Ówierciakiewiczowa wystarcza? — Szkoła gospodarstwa domowego a jej prelegenci. — Naftuła Toepfer i Mokrzycki. — Przekroczenie dyr. Grąbczewskiego i jego walka wewnętrzna. — Inna walka pani Bednarzewskiej. — Piękność czy ranga, co lepsze. — Dowcip pani Konstancji. — Humorystyczne komunikaty Filharmonii i ich fatalny skutek. — Dlaczego publiczność nie przyszła. — Hydrometry we Lwowie. — Co będzie z wodą? — Oszczędni lwowianie. — Skutki zaprowadzenia zegarów wodociagowych. — Kiedy będzie wolno pić? — Oburzenie dzienników. — Nasza zemsta. — Marnowanie wody. — Co musi uczynić obywatel lwowski, aby wyżyć i nie dać się pochować w miejskim zakładzie pogrzebowym. — Kiedy on powstanie?)

Okoliczność, że nasi posłowie zjechali się do Lwowa na sesję sejmową, podziałała na miasto naszetak fatalnie, że wielu szanujących się ludzi musiało na ten czas opuścić miasto. Jest bowiem niepodobiestwem wyżyć teraz we Lwowie. Chcesz pójść na operę — niema biletów, sejm w teatrze, chcesz zjeść kolację w lepszej restauracji, niema miejsca, sejm nabiera sił do jutrzejszej sesji, chcesz odwiedzić tyngel, wszystko nabite, chcesz złożyć wizytę znajomej śpiewaczce, właśnie zajęta, bo podejmuje u siebie młodego posła, starającego się o jej rękę i względy. Trudno o kawałek miejsca, gdzieby się człowiek nie natknął o jakiegoś posła. Bawi się nasz parlament krajowy, a najwięcej bawią się hreczkosieje, którzy poprzyjeżdżali obławowani oszczędnościami długich miesięcy, ażeby zdala od cnej magnifiki pusić się w wir uciech wielkomiejskich, a przyjechali właśnie na czas bardzo stosowny, kiedy stolica ożywiła się na dobre, kiedy rozpoczęto długo zapowiadany sezon operowy, a trzy tyngle walczą ze sobą o lepsze, wystawiając na wabika niezliczone fotografie bosych od dołu i góry „artystek“ na widok publiczny, w oknach sklepowych, w kawiarniach i cukierniach...

Lwów w nocy przybrał fizyognomię prawdziwie wielkomiejską, a krzyżujące się niezliczone dorożki, rozwioła rozprawionych gości z tyngłów... Do domu? Broń Boże! Ależ to dopiero pierwsza po północy! A cóżby człowiek w domu robił przez cały wieczór? Toć tyle gościnnych kawiarni wabi zdaleka blaskiem gazowych i elektrycznych lamp... A więc przed jedną, drugą, trzecią kawiarnią zatrzymują się „gumy“ i nie-gumy, a z nich wyskakują łysi donżuani i pomagają wysiadać wiotkim towarzyszkom, o których na szczęście nic nie wie „stara“, śpiąca snem sprawiedliwego sędziego śledczego, już od pięciu godzin w domu. W kawiarniach kipi... Separatki, szczerline pozamykane, odzywają się od czasu do czasu pęknięciem korka szampańskiego, lub rozgłosnym, srebrzystym śmiechem cnotliwej duszy śpiewaczki, albo wreszcie brzękiem tłuczonego szkła słabych, niewinnych kieliszków... Jak one się cudnie śmieją! Gdzie to tak potrafi która niewiasta ze wsi, pamiętająca o kurach, gęsiach i innych kucharskich sprawach? Jaka to cudowna i pożyteczna instytucja ten sejm!.. Tylko, że ta sesja powinna panie dzieje trwać stanowczo dłużej, choćby 10 miesięcy w roku... Tak дума pan poseł w swojej duszy i myśli o szczęściu wielkomieszczuchów, którzy — trudno uwierzyć — mają codziennie sposobność tak pysznie się ubawić i jeszcze narzekają... Niewdzięcznicy! Socjaliści!

A potem t. j. około godziny 5 rano do domu... Co to za błogi sen po takiej zabawie... Na sesję czas pójść o godzinie dwunastej, co jest przeciw arcyważnemu zarządzeniu pana marszałka. On wiedział, że ludzie muszą się bawić, a po zabawie spać trzeba. Gdyby posiedzenie naznaczono np. na dziewiątą, to oprócz kilku starsuszków i cnotli-

wego ks. Stojalskiego, nie byłoby prawie nikogo... A może...

Jeżeli jednak posłowie nasi psują sobie swoje poselskie żółdki w nocy, to my wszyscy inni, nieposłowie, możemy odtąd o nasze żółdki być całkiem spokojni. Lekarze chorób wewnętrznych, specjaliści katarów żółdkowych, operatorowie krótkowidzących czy ślepych kiszek — ci wszyscy panowie mogą już zawczasu postarać się o posady dyurnistów, bo przyjdzie im wkrótce wyginać z głodu. Żółdki lwowian są uratowane, a słynny Karlsbad nie zobaczy lwowianina chorego ani przez mikroskop. Bo nasze dobre, kochane panie zauważyły, iż córeczki ich, mimo tylu niezaprzeżonych zalet, pomimo dobrego wychowania i wykształcenia, często nawet akademickiego, nie mają możności po zamążpójściu uszczęśliwić swoich mężów w zupełności. Mężowie bowiem dzisiejsi mają dziwne wymagania. Nauczyli się, kawalerami będąc, grymasić po restauracjach, nazywać pieczeń podeszwą, rosół deszczówką, leguminę wystrzelonym fajerwerkiem, nauczyli się za łada przepalenie rzucić kelnerowi talerz w głowę, cóż dopiero mówią, czy chcą mówić, gdy obiady i kolacje sporządza nie stara, renomowana kucharka restauracyjna, ale młoda panią, która zna i chemię i trygonometrię, czytała kłaków rzymskich i greckich, z Odyseuszem cierpiała, spała z Horacym, marzyła o pieśniach Owidyusza, kochała platonicznie Apollina, przyrównywała siebie do młodszej Wenery w lustrze, śmiała się do rozpuć z krzywego Hefajstosa... Gdzież ją postawić przed kuchnią i kazać gotować. Co najwyżej może dozorować kucharkę i dziwić się, że ona (t. j. kucharka), przyrządzając jakąś potrawę, już naprzód wie, co z tego wyjdzie... Cóż dopiero, gdy stosunki męża nie pozwalają opłacać się grubo dobrej kucharce, a tani „szturpak“ gotować nie umie i czeka rozkazów samej gospośi. Wtedy przychodzi kolej na s. p. panią Ówierciakiewiczową, której nieocenioną książkę p. t. „365 obiadów“ radził p. F. Jasiński przerobić na operę jako *pendent* do „Szopena“, a o ile w tej książce nie ma omyłek druku (proch zamiast groch, flaszki zamiast flaczki i t. d.), o ile głębokie myśli w niej zawarte mogą się obejść bez komentarza encyklopedyi, o tyle z kuchni na stół dostaje się coś, co młodemu mężowi staje kością słońową w gardle... Te oto były powody, które skłoniły grono myślących pań do założenia szkoły gospodarstwa domowego, w której panny będą mogły praktycznie wyćwiczyć się na bajeczne gospośi. Szkoła zaanżagowała rozmaitych prelegentów, przeważnie profesorów uniwersytetu, których zadaniem jest teoretycznie komentować dzieło pani Lucyny Ówierciakiewiczowej, przy zastosowaniu wszystkich zdobyczy najnowszej nauki chemii, fizyki, botaniki, mineralogii, geografii i zoologii. O kurs praktyczny ubiega się znany, renomowany restaurator tutejszy p. Michał Szymon Toepfer, który zainauguruje swoje wykłady odczytem, zatytułowanym: „Masło czy margaryna i ich wpływ na literatów lwowskich“. Kurs skrobania kartofli, kśsenia ogórków i tłuczenia jaj, obejmuje je ten z cenniejszych dziennikarzy lwowskich, a naukę bicia bydła, rżnięcia drobiu i deklamacji (na deser) bierze radny pan Mokrzycki. Inne wykłady są jeszcze do obsadzenia.

Można sobie wyobrazić radość lwowskich kawalerów, którzy dotąd obawiali się żenić, patrząc na swych żonatych kolegów, jakby dynamitem nadzianych po każdym obiedzie...

Radość ta jednak nieczem jest w porównaniu z radością, jaka zapanowała za kulisami teatralnymi na onegdajszym przedstawieniu opery, kiedy to p. Grąbczewski, dyrektor opery, który srogo i to pod grzywną zakazał „bisować“ na brawa, sam powtórzył całą pieśń... Soliści pękali ze śmiechu, a nasze chórzystki z radości powyrywały sobie wszystkie siwe włosy. Ustawiona na galeryi kłaka tak mocno klaskała, iż klakierom popuchły ręce i po następnym akcie musieli dla wypełnienia swojej funkcji bić się przez pięć minut w policzki. Ale efekt był kolosalny...

Że zaś p. Grąbczewski pozwolił sobie na przekroczenie przepisu, to wytłómaczył prof. Niewiadomski walką wewnętrzną, jaka się rozegrała po olbrzymich brawach klaki, w t. zw. duszy dyrektora śpiewaka w jednej osobie. Pan Niewiadomski twierdzi, że w tym wypadku śpiewak zwyciężył dyrektora. Śpiewak chciał powtórzyć pieśń, a dyrektor chciał jeszcze więcej — dyrektor ustąpił, śpiewak powtórzył... a p. Niewiadomski zgadł.

Podobną walkę wewnętrzną musiała onegdaj stoczyć pani Bednarzewska. Siedziała w większym towarzystwie. Ma się rozumieć: Nowacki, Pawli-

kowski, Wojnowska i t. d. Do tego towarzystwa „przyczepił się“ jakiś jegomość, który umie być nie tyle dowcipnym, ile złośliwym bezwiednie... Mówiono o artystkach.

— Dziwna rzecz — zauważył ów pan — że wielka artystka nigdy nie jest piękną kobietą i na odwrót piękna kobieta nigdy nie będzie wielką artystką...

Ponieważ nie mogło tu chodzić o pannę Wojnowską, więc pani Bednarzewska wzięła tę uwagę na swój adres. Co lepsze? Czy wyrzec się rangi wielkiej artystki a zostać przy piękności, czy powiedzieć sobie, a raczej dać sobie powiedzieć: jesteś wprawdzie wielką artystką ale — darujesz — nie piękną... Trzeba właśnie być panią Bednarzewską, ażeby nie mieć gustu wyrzekać się dla czyjejs zachcianki ani jednego ani drugiego... To też po bardzo krótkim namyśle odpowiedziała z przekąsem, ale tremolando: — Dziwna rzecz, że mądzy ludzie nie zawsze mówią aforyzmami i na odwrót, ludzie mówiący aforyzmami nie zawsze są mądzy...

Trzeba przyznać: udało się. Jeżeli to tak było powiedziane...

Natomiast nie udało się naszej Filharmonii z ostatnimi dwoma koncertami pomimo, że p. J. K. Zieliński już na dwa tygodnie przed koncertami codziennie wysiłał się na humorystyczne komunikaty w dziennikach, zapowiadające przybycie Mesyasa i doradzające jak najszybsze wystąpienie o bilety, bo „już wnet zabraknie“. Ale lwowska publiczność obawia się ścisiku... A potem komu chciałoby się dziś aż śpieszyć się zdobywać bilety, aby pójść na koncert tylekroć słyszanej Gemmy albo Kruszelnickiej. Niech się inni pchają — powiedziała sobie publiczność i nie poszła. Ale tak powiedzieli sobie wszyscy... I były pustki straszne w sali lwowskiej filharmonii na obu koncertach, jakich nie pamięta żaden portyer teatralny... Teraz dyrekcyja żałuje, że komunikatami straszyla ludzi. Odtąd już nigdy nie przeczytamy, że „zabraknie wnet biletów“...

Widzę jednak, że już jestem na ukończeniu dzisiejszej kroniki a nie wspomniałem jeszcze nic o naszej radzie miejskiej i jej sprawach. Otóż najnowszym jest zamierzone wprowadzenie hydrometrów t. j. zegarów wodociagowych. Nowość ta ma na celu zapobieżenie marnowaniu lekkomyślnemu wody, a choć z tego względu zasługuje na poparcie, to ma inne strony ujemne, które gotowe fatalnie odbić się na mieszkańcach stolicy. Wiadomo bowiem, że lwowianie są bardzo oszczędni, niektórzy nawet skąpi. Gdy więc przyjdzie im za każdy litr zużytej wody płacić, to zachodzi obawa, że przestaną pić, gotować, myć się, prać bieliznę, golić się — słowem przestaną żyć. Wymrą z głodu, z pragnienia i brudu. Dotąd mógł przynajmniej taki pan wypić dziennie bezkarnie kilka konewek wody i cały dzień chlapać się w wannie. Odtąd i to będzie opodatkowane. Taki dyurnista, taki nauczyciel ludowy lub urzędnik kolejowy, taki auskultant sądowy, czekający na awans i utrzymywany przez swojego ojca emerytowanego urzędnika bankowego — te wszystkie głodomory, będą musieli teraz liczyć się i pić wodę tylko w niedzielę i święta. Niemniej oburzone są nasze dzienniki, które — jak wiadomo, najczęściej używają wody.

Na szczęście nie rychło to jeszcze nastąpi, a do tego czasu mścimy się na naszym magistracie i jego wodociagach, ile możemy, rozlewamy ją na wszystkie strony, napełniamy nią oracye, dzienniki, dzieła, a to, ażeby przynajmniej do czasu wprowadzenia hydrometrów wyschły wszystkie źródła wodociagowe na nic.

Tak jest, stosunki we Lwowie z każdym dniem są nieznośniejsze, a o ile kto zawczasu nie postara się o agencję fałszywych 50-koronówek, to wypadnie mu zjeść po kolei żonę, teściową, wszystkie dzieci, kucharkę, kominiarza, a na samym końcu siebie, ażeby nie potrzebował czekać na miejski pogrzeb w miejskim zakładzie pogrzebowym, który powstanie wtedy, kiedy ludzie umierać przestaną... Kłewo.

Łatwe do zrozumienia.

Sprawa rozwodowa profesora X. narobiła swego czasu bardzo wiele hałasu. Interesowano się nią ogromnie, bo profesor K. człowiek nadzwyczaj popularny, był lubiany powszechnie. Zaciekawienie wzmagalo się tem bardziej, że zacny profesorek dwa razy cofał podanie rozwodowe.

— Czy to prawda — powiada jeden z jego znajomych — że profesor K. nie mógł w ostatniej chwili rozstać się ze żoną?

— Czy ze żoną — to wielkie pytanie — odpowiada zapytany — zdaje się, że z posagiem!